

# Nepal i Indie 2010

Poniżej znajduje się relacja z podróży Magdy i Przemka po Nepalu i Indiach. Przed wyjazdem rozważaliśmy jeszcze Sri Lankę zamiast Nepalu, ale teraz wydaje nam się, że dobrze wybraliśmy. Był to nasz pierwszy długi wyjazd w terminie innym niż wakacje. Dzięki temu mogliśmy uczestniczyć w trekkingu w Himalajach, który był najpiękniejszym doświadczeniem podczas naszej tegorocznej podróży. Zdjęcia i filmy z naszej wyprawy znajdują się na stronie <http://plecakowicz.pl/foto>. Życzymy miłego czytania i oglądania zdjęć. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: [plecakowicz@gmail.com](mailto:plecakowicz@gmail.com).

## 1. Krótkie spostrzeżenia z wyprawy

**Nepal** jest bardzo biednym krajem, którego znaczne dochody pochodzą z turystyki. Większość turystów przyjeżdża do Nepalu, aby udać się na trekking w Himalajach. Dwa najpopularniejsze trekkingi to Everest Base Camp oraz Annapurna Circuit. W Himalajach mieszkają Szerpowie, którzy w przeciwieństwie do większości Nepalczyków, są wyznawcami buddyzmu. Szerpowie urzekli nas swoją życzliwością, uczynnością i pracowitością.

**Indie** są krajem tanim, ciekawym kulturowo, krajem, który pobudza wszystkie zmysły przez wszechobecne kolorowe sari oraz specyficzną kuchnię. Te cechy przyciągają wielu podróżników. Podczas naszego pobytu w Indiach spotkaliśmy więcej Polaków niż w sumie przez siedem poprzednich lat naszych dalekich podróży. Jednak dla osoby, która nigdy nie była poza Europą, Indie mogą być krajem brudnym, zbyt gorącym, pełnym hałasu, naciągaczy, krajem ogromnych odległości, tłumów ludzi i chorób układu pokarmowego. Na przyjazd do Indii trzeba być dobrze przygotowanym mentalnie, bo inaczej taka wyprawa może stać się koszmarem. Stąd też biorą się tak różne od siebie opinie o Indiach.

Przed wyjazdem czytaliśmy także wiele złych opinii o Hindusach. Rzeczywiście ich mentalność jest bliższa Arabom niż Europejczykom. Targowanie się, plucie, pchanie się, wypychanie się bez kolejki to dla Hindusów norma, ale jak się ich pozna bliżej to są mili, uczynni i uczciwi. Największym problemem w Indiach jest bieda. 456 milionów Hindusów żyje poniżej granicy biedy (wg Banku Światowego). To jest mniej więcej tyle ile osób mieszka w całej Unii Europejskiej. Za to z drugiej strony w Indiach żyje 126 tysięcy osób, których majątek przekracza milion dolarów amerykańskich. Indie to kraj kontrastów.

## 2. Ocena miejsc

Poniżej znajduje się **ocena miejsc, w których byliśmy** wg następującej skali ocen: 1 – badziewie, 2 – nieciekawe, 3 – nic specjalnego, 4 – takie sobie, 5 – może być, 6 – całkiem ciekawe, 7 – warto zobaczyć, 8 – trzeba zobaczyć, 9 – szczególnie polecamy, 10 – trzeba koniecznie zobaczyć:

- **Nepal [8/10]:** Kathmandu [8/10], Swayambhunath [8/10], Bodhnath [8/10], Pashupatinath [9/10], Patan [8/10], Bhaktapur [7/10], rafting po Trisuli River [6/10], EBC Trail [10/10], Gokyo Trail [9/10], PN Chitwan [6/10], Lumbini [7/10]
- **Indie [7/10]:** Varanasi [8/10], Khajuraho [9/10], Taj Mahal [9/10], Agra [7/10], Fatehpur Sikri [7/10], Amritsar [10/10], Attari [7/10], Delhi [7/10], Jaipur [7/10], Pushkar [8/10], Jodhpur [8/10], Jaisalmer [8/10], Udaipur [7/10], Ajanta Caves [8/10], Mumbai [8/10], Elephanta Caves [7/10], Palolem [8/10], Agonda [7/10], Hampi [9/10]

### 3. Dziennik podróży

#### 28.09.2010 Wrocław -> Munchen -> Delhi

O 17:25 wylatujemy do Monachium, z którego o 20:20 mamy kolejny samolot do Delhi. Tym razem lecimy dużym Airbusem A340, w którym możemy odrobić zaległości z filmami, ponieważ każdy ma swój monitor oraz pokładową wypożyczalnię filmów (VoD).

#### 29.09.2010 Delhi -> Kathmandu

Najtańszym połączeniem do Kathmandu był przelot do Delhi wraz z przelotem tanią indyjską linią lotniczą z Delhi do Kathmandu. Takie też kupiliśmy bilety. Jedyną niedogodność to konieczność posiadania indyjskiej wizej, jednak ta była nam i tak później potrzebna (dostaliśmy double entry).

O 7:40 przylatujemy do Delhi. Zabieramy nasze bagaże i przechodzimy do hali wylotów. Czekamy do 12:00, kiedy to wylatujemy samolotem JetLite do Kathmandu, gdzie lądujemy po niecałych dwóch godzinach.

Dojeżdżamy taksówką do Pilgrims Guest House. Na przywitanie dostajemy miejscową herbatę (masala tea) i rozmowę z pracownikiem Outdoor Himalayan Treks, który został prawdopodobnie poinformowany o naszym przyjeździe. Wysłuchujemy jego oferty, ale przed ostateczną decyzją sprawdzamy oferty konkurencyjnych biur. Jeżeli chodzi o trekking to wszystkie biura mają podobne ceny, ale okazuje się, że inaczej jest z przelotem do Lukli, skąd rozpoczyna się trekking. Wiemy, że pierwsze samoloty do Lukli są o 6:30 a ostatnie o 12:30 i lepiej lecieć jak najwcześniej, bo późniejsze mają większą szansę być odwołane. Chcemy lecieć 2 października i niektóre biura proponują nam wyloty o 10:30 lub 12:30, ponieważ wcześniejsze godziny są już zajęte. Outdoor Himalayan Treks proponuje nam wylot o 6:30, więc decydujemy się u nich kupić przelot i 16-dniowy trekking do Everest Base Camp (EBC) i Gokyo Lakes. Jak się później okaże był to dobry wybór i możemy śmiało polecić tą firmę.

#### 30.09.2010 Kathmandu -> Patan -> Bhaktapur -> Kathmandu

Do rozpoczęcia trekkingu mamy dwa dni, które chcemy przeznaczyć na oswojenie się z Nepalem. Po śniadaniu jedziemy autobusem do Patan, zabytkowego miasta, gdzie turyści płacą za wstęp do miasta i dostają naklejkę na ubranie. Zwiedzając miasto spotkamy rodzinę, która z odświętnie ubranym i pomalowanym małym dzieckiem, udaje się na coś w rodzaju chrztu w hinduskiej świątyni. W Patan najbardziej podoba nam się Golden Temple i Durbar Square. Świątynie kształtem oraz starym wyglądem przypominają nam te z Bali w Indonezji.

Następnie jedziemy autobusem do Bhaktapur, gdzie znajduje się ładna, najwyższa w Nepalu pięćpiętrowa świątynia buddyjska. Po drodze do kolejnych świątyń trafiamy na zabytkowe drzwi, które mają przyczepione wielkie oczy i rzęsy, prawdopodobnie jeden z wielu świętych znaków hinduizmu. W Bhaktapur udaje nam się jeszcze zobaczyć Durbar Square zanim napotykamy silny, monsunowy deszcz. Na szczęście według przewodnika pora deszczowa kończy się w Indiach z końcem września, czyli dzisiaj.

#### 1.10.2010 Kathmandu -> Trisuli River -> Kathmandu

O 7:00 wyjeżdżamy na rafting, który kupiliśmy w innym biurze, bo był prawie dwa razy tańszy niż w Outdoor Himalayan Treks. Wybraliśmy najtańszą opcję, czyli przejazd autobusem; można też było jechać taksówką. Jedziemy przez góry i po drodze jest korek w przeciwną stronę, ale droga jest tak wąska, że przez to musimy się często zatrzymywać. Na miejsce początku raftingu dojeżdżamy po prawie czterech godzinach, chociaż przejechaliśmy tylko 80 km. Wydaje nam się, że już jesteśmy spóźnieni, ale i tak musimy czekać około godziny na turystów przyjeżdżających taksówkami. Dostajemy kamizelki oraz wiosła i schodzimy nad rzekę. Dopiero teraz pompują pontony, jakby nie mogły być już przygotowane. Wszystkie

cenne rzeczy musimy schować do beczki, która jest zabezpieczona przed utonięciem. Wypływamy dwoma pontonami, każdy po osiem osób plus sternik. Sternik uczy nas równo wiosłować, co jest ważne dla naszego bezpieczeństwa. Chyba wiosłujemy dość sprawnie, bo później kieruje nas na największe fale, przez co wszyscy są cali mokrzy. Gdy rzeka jest spokojniejsza możemy wyjąć nasz aparat z beczki i porobić trochę zdjęć. Przed 16:00 dopływamy do miejsca, gdzie jemy skromny obiad wliczony w cenę raftingu i autobus zabiera nas z powrotem do Kathmandu. Niektórzy zostają tutaj na nocleg, ponieważ zdecydowali się na kilkudniowy rafting, ale dla nas byłoby to już nudne. Tym razem podróż jest trochę krótsza, bo nie ma korków, za to jesteśmy wysadzeni po zmierzchu na obrzeżach miasta i musimy wziąć taksówkę, żeby dojechać do naszego hotelu.

Wieczorem robimy jeszcze ostatnie zakupy przed trekkingiem. Kupujemy latarki na głowę, baterie do nich, polar, spodnie trekkingowe oraz dużo batonów. Przepakowaliśmy się także do jednego plecaka a drugi zostawiamy w hotelu w Kathmandu.

### **2.10.2010 Kathmandu -> Lukla -> Phakding**

Umówiliśmy się z jednym taksówkarzem, że przyjedzie po nas o 5:00, ponieważ przed 6:00 musimy być na lotnisku. Gdy wyszliśmy z hotelu okazało się, że taksówkarz spał w taksówce przed naszym hotelem wraz ze swoim kolegą. Wyglądało jakby spędzili tu całą noc, w samochodzie wielkości naszego małego fiata.

Na lotnisku spotykamy kilkudziesięciu turystów czekających na otwarcie lotniska. Terminal domestic jest malutki. Otwierają go o 6:00, dostajemy karty pokładowe i czekamy na wylot o 6:30. O tej samej godzinie startują przynajmniej trzy samoloty. Są to małe 16 osobowe samoloty typu Dornier. Lot do Lukli trwa tylko 45 minut, po lewej stronie oglądamy Himalaje. Nie są one pod nami, ale obok nas, na tej samej wysokości, na której leci samolot. Przed lądowaniem wlatujemy w przełęcz między dwoma górami i wygląda jakbyśmy mieli się rozbić. Siedzimy blisko pilotów, dlatego widzimy przed nami bardzo krótkie lotnisko, bo widać jednocześnie jego początek i koniec. Lądowanie trwa kilka sekund, po czym samolot musi skręcić w prawo, bo na końcu pasa startowego jest ściana. Po wylądowaniu widzimy, że lotnisko jest pod górkę i jest to jedno z najkrótszych lotnisk na świecie (530m).

W Lukli spotkamy naszego tragarza o imieniu Tilachah. Jest to młody chłopak, który mieszka kilka dni pieszo od Lukli. W domu jego brata jemy śniadanie i około 8:00 wyruszamy na trekking. Pierwszy dzień jest łatwy bo mamy jedynie z Lukli (2800 m.n.p.m.) zejść do Phakding (2600 m.n.p.m.). W Phakding jesteśmy około południa. Na dzisiaj mamy już wolne, więc robimy sobie drzemkę, jemy obiad i wychodzimy na spacer na pobliskie wzgórze.

### **3.10.2010 Phakding -> Namche Bazaar**

Wstajemy na śniadanie, które zamówiliśmy na 7:00. Następnie wyruszamy w góry. Droga jest łatwa, po drodze mijamy dwa wodospady. W jednym miejscu jest punkt widokowy, z którego widać ośnieżone szczyty w szczególności Tamserku (6608m). Następnie wchodzimy na teren parku narodowego, gdzie się rejestrujemy i pokazujemy swoje pozwolenia (permit). Po drodze spotykamy jaki, które służą tutaj do transportu żywności i innych towarów. Dochodzimy do Larja Bridge, od którego zaczyna się strome i długie podejście po górę. Pod górę jaki są szybsze od nas i musimy je przepuścić. Idziemy wolno, swoim tempem, próbując się nie przemęczać. Dla niektórych turystów to podejście było najtrudniejsze z całego trekkingu, głównie z powodu nie rozchodzenia. Do Namche Bazaar (3400m) dochodzimy około 15:00. Jest to największe miasto na trasie trekkingu i tutaj można się zaopatrzyć we wszystko, czego się zapomniało zabrać ze sobą. My najbardziej szukamy owoców, ale oprócz jabłek nic tu nie ma i nie będzie podczas całego trekkingu. Są za to trzy piekarnie, gdzie można kupić ładnie wyglądające ciastka. Litr mineralnej wody kosztuje tutaj już 100 Rp (ponad 4 zł), podczas gdy ta sama woda w Kathmandu kosztowała 10 Rp.

#### **4.10.2010 Namche Bazaar -> Khumjung -> Namche Bazaar**

Dzisiaj mamy pierwszy dzień aklimatyzacyjny. Aklimatyzacja polega na wejściu na wysokość 3800m i zejściu z powrotem na nocleg do Namche Bazaar na 3400m. Wyruszamy po śniadaniu, które jest 7:00. Na początku wychodzimy z miasta setkami schodów pod górę a później rozpoczyna się bardzo strome podejście, około 200m w pionie. Dobrze, że jest rano, bo w dużym słońcu moglibyśmy umrzeć na zawał serca. Po wejściu na górkę droga jest prawie prosta. W jednym miejscu jest doskonały widok na Mount Everest i sąsiednie góry. Przewodnik innych turystów mówi, że mamy szczęście, bo jak tu był ostatnio to było widać tylko chmury. Przed południem jesteśmy na około 3860m a dokładnie w Everest View Hotel, skąd widzimy panoramę Himalajów. Po raz pierwszy widzimy też drzewa z niebieskimi szyszkami. Następnie schodzimy do Khumjung (3780m), gdzie oglądamy małą buddyjską świątynię i wracamy w kierunku Namche, gdzie dochodzimy około 14:00. Jemy obiad a później idziemy na film Into Thin Air (Wszystko za Everest), który o 15:30 wyświetlają w Liquid Cocktail Bar. Film nie jest podnoszący na duchu, ale podejście głównych bohaterów rozpoczyna się w Everest Base Camp (EBC), gdzie my mamy zakończyć nasz trekking. Wieczorem gramy w karty z naszym tragarzem i przewodnikiem innych turystów.

#### **5.10.2010 Namche Bazaar -> Tengboche**

Zgodnie z planem ustalonym już w Kathmandu mieliśmy dzisiaj iść z Namche Bazaar do Dhole (na Gokyo Trail), ale posłuchaliśmy kilku przewodników i postanowiliśmy najpierw iść na EBC a później na Gokyo. Podobno taka kolejność jest dużo lepsza dla aklimatyzacji. Zamówiliśmy śniadanie na 6:30, ale pojawiło się dopiero pół godziny później. Pierwsza część trasy była łatwa. Później musieliśmy zejść na około 3200m i długim, stromym podejściem wspiąć się na 3800m do Tengboche. Jednak podejście było łatwiejsze niż wczoraj. Do Tengboche dochodzimy około południa a później jemy obiad. Po 14:00 przychodzą chmury i robi się bardzo zimno. Tengboche składa się jedynie z pięciu hoteli i ładnego, dużego klasztoru buddyjskiego, w którym można przyglądać się modlitwom mnichów. Cała miejscowość leży na nieosłoniętym szczycie, a najwyżej położony był nasz hotel. Z tych dwóch powodów nocleg w Tengboche był jednym z najzimniejszych na całym trekkingu.

#### **6.10.2010 Tengboche -> Dingboche**

Jemy śniadanie około 7:00, ale z wyjściem musimy czekać na tragarza. Z naszych obserwacji wynika, że wszyscy przewodnicy oraz tragarze dostają to samo jedzenie i o tym samym czasie, ale dopiero wtedy, kiedy wszyscy turyści dostaną zamówione przez nich jedzenie. Dzisiejszy dzień rozpoczyna się od zejścia do mostku, którym przepławiamy się przez rzekę. Następnie jest łagodne podejście, mijamy po drodze lasy rododendronowe, później robimy krótki postój w Syomare. Potem droga jest prosta i szeroka. Na tej wysokości nie ma już drzew, jest tylko kosodrzewina. Następnie schodzimy do kolejnego mostu (około 4200m), który jest blisko rozgałęzienia drogi do Periche i Dingboche. Na koniec zostaje nam średnio-trudne podejście 200m wzwyż do Dingboche (4400m), gdzie dochodzimy w południe. Niektóre osoby skarżą się na tej wysokości na ból głowy lub krwawienie z nosa. Chcemy wziąć prysznic a nasz tragarz załatwia nam w tym celu wiadro gorącej wody. Wiemy, że gorące prysznice są w tutejszych hotelach zwykle płatne, ale ten okazuje się darmowy. Później zamawiamy obiad. Jeżeli chodzi o jedzenie, widzimy jak ilość składników z każdym dniem zaczyna się zmniejszać. Jedynymi dostępnymi tu warzywami są marchewka i kapusta, które są nawet podawane na pizzy.

#### **7.10.2010 Dingboche**

Czwarty raz z kolei (od Namche) nocowaliśmy w hotelu z tymi samymi ludźmi. Oprócz nas jest to dwóch Anglików, para Amerykanów i para Australijczyków. Noclegi są zwykle wybierane przez przewodników (lub tragarzy jak ktoś nie ma przewodnika), więc to pewnie oni się razem zgadali. Dzisiejszy plan tych trzech grup ludzi to kolejny dzień aklimatyzacyjny poprzez wspólne wejście na pobliską górę Nangkar Tshang, która ma 5083m. Planowaliśmy iść dalej, ale argumenty ich przewodników wydają się sensowne, więc

postanawiamy pójść z nimi. W ten sposób zwiększamy swoje szanse wejścia na EBC przez lepszą aklimatyzację. Z drugiej strony stracimy jeden dzień, który jednak możemy łatwo odzyskać przy schodzeniu, które można zrobić znacznie szybciej niż według naszego pierwotnego planu.

Rano jest pochmurnie, pierwszy raz od rozpoczęcia trekkingu. Później pogoda zaczyna się poprawiać. Całe podejście jest długie, cały czas pod górę i strome. Idziemy swoim tempem, które jest wolniejsze od Anglosasów. Za to oni robią dłuższe postoje, podczas których ich wyprzedzamy. Amerykanie i Australijczycy rezygnują z dalszego wchodzenia po przejściu 2/3 drogi. Na kamienisty szczyt z doskonałymi widokami wchodzimy tylko my i Anglicy.

Po powrocie do Dingboche robimy te same czynności, jak codziennie od rozpoczęcia trekkingu. Zamawiamy obiad, gramy w karty i czekamy na zachód słońca. Po zachodzie słońca około 17:00 jemy kolację i grzejemy się przy kozie, która zawsze jest w centralnej części jadalni, bo robi się bardzo zimno. Szybko też chodzimy spać, bo nie ma co robić a trzeba wcześniej wstawać.

### **8.10.2010 Dingboche -> Lobuche**

Rano wychodzimy w kierunku Lobuche, które jest przedostatnią miejscowością na szlaku EBC. Droga jest łatwa, z wyjątkiem jednego stromego podejścia. Przed Dughlą oglądamy Periche, które leży kilkaset metrów niżej. Nad Periche rozciągają się piękne, ośnieżone wierzchołki Taboche Peak (6367m) i Cholatse (6335m).

Po drodze zatrzymujemy się na herbatę w Dughli (4620m). Jesteśmy już tak wysoko, że już nawet nie ma kosodrzewiny. Do Lobuche (4910m) dochodzimy o 12:15 i dostajemy ostatni wolny pokój. Są jeszcze tylko wolne pokoje w drogim hotelu za 18\$, gdzie muszą zatrzymać się nasi znajomi Anglosasi. Dowiadujemy się też, że Amerykanie źle się czują z powodu choroby wysokościowej i postanawiają nie wchodzić dalej.

### **9.10.2010 Lobuche -> Gorak Shep -> EBC -> Gorak Shep**

Jemy śniadanie o 6:00, bo chcemy szybko wyjść, ponieważ słyszeliśmy o problemach z noclegami w Gorak Shep. Tam już nie ma drogiego hotelu i gdy nie ma wolnych pokoi pozostaje jedynie spanie przy kozie z przewodnikami i tragarzami. W Gorak Shep (5140m) jesteśmy już o 9:15 i udaje nam się znaleźć nocleg. Czujemy się dobrze, więc po zjedzeniu zupy postanawiamy iść do Everest Base Camp (EBC). Droga jest łatwa, największą trudnością jest sama wysokość, przy której trudniej się oddycha. Po około dwóch godzinach dochodzimy do początku EBC (5364m). Jesteśmy tutaj otoczeni ośnieżonymi szczytami, które są tak blisko, że ciężko je zmieścić w kadrze. Już tutaj widzimy pierwsze namioty rozbite przez ekspedycję z Azji. Większość turystów w tym miejscu zawraca i wraca do Gorak Shep. Wydaje nam się jednak, że to jeszcze nie jest prawdziwe EBC i postanawiamy iść dalej. Teraz droga jest trochę bardziej niebezpieczna, bo idziemy lodowcem. Pod cienką warstwą kamieni znajduje się topniejący lód. Po drodze oglądamy jeziora na lodowcu Khumbu. Po około 45 minutach dochodzimy do miejsca, w którym rozbitych jest mnóstwo namiotów należących do kilku różnych ekspedycji. Tutaj oglądamy ice fall z bliska. Zostajemy zaproszeni do namiotu-jadalni Lhotse Czech Expedition 2010 (prowadzi ją Leopold Sulovsky, pierwszy Czech, który wszedł na Everest) i poczęstowani herbatą. Himalaiści są wtedy w górach, ale dopiero teraz czujemy, że dotarliśmy do EBC. W drodze powrotnej mijamy wiele osób idących w kierunku EBC. Jest to niebezpieczne, ponieważ będą musieli wracać po ciemku. Do Gorak Shep wracamy o 16:30 i po posiłku szybko idziemy spać, bo jesteśmy bardzo zmęczeni. Dzisiejszy trekking trwał aż 10 godzin, w tym około dwóch godzin odpoczynku.

### **10.10.2010 Gorak Shep -> Kala Patthar -> Gorak Shep -> Lobuche**

Wstajemy o 4:30, aby około 5:00 rozpocząć wspinaczkę na Kala Patthar. Zaczynamy z latarkami na głowie, ponieważ jest ciemno. Widzimy dziesiątki świateł przed nami i za nami, ponieważ wiele osób postanowiło wspiąć się na wschód słońca na Kala Patthar. Droga idzie cały czas stromo pod górę, ale przecież musimy wspiąć się na 5550m, najwyżej podczas naszego trekkingu. Za każdym razem, gdy wydaje nam się, że już widzimy Kala Patthar pojawiają się kolejne wyższe wierzchołki, które wcześniej były niewidoczne. Po przejściu połowy drogi powoli zaczyna się rozjaśniać. Oglądamy poświatę nad wierzchołkami Everestu, Pumo Ri i Nuptse. Ostatnia część podejścia na Kala Patthar to wspinaczka po ogromnych kamieniach pokrywających w całości szczyt. To tutaj widzimy pierwsze promienie słońca oraz słyszymy krzyki turystów wiwatujących na wschód słońca. Widoki z Kala Patthar są ładne, ale wiele już takich widzieliśmy podczas naszego trekkingu. Wydaje nam się, że nie było sensu wstawać tak wcześnie, żeby tu wejść na wschód słońca, ponieważ przez cały dzień były tam dobre widoki (brak chmur). Na szczycie spotykamy Anglików i Australijczyków. Wzajemnie sobie gratulujemy, ponieważ przeszliśmy EBC Trail. Zarówno Anglicy i my zamierzamy pójść jeszcze przez Chola Pass na Gokyo Trail. O 9:20 jesteśmy z powrotem w Gorak Shep, gdzie jemy śniadanie a już o 11:30 dochodzimy do Lobuche. Widzimy rozbite namioty, których tu nie było dwa dni wcześniej, Okazuje się, że nie ma już noclegów, oprócz tych w drogim hotelu. Spotykamy też Anglików, którzy po odpoczynku chcą jeszcze dzisiaj dojść do Dzonghli, co zajmie 3-4 godziny. My jesteśmy zmęczeni po nieprzespanej nocy i postanawiamy zgodnie z planem nocować w Lobuche. Od razu kładziemy się spać i śpimy aż trzy godziny do obiadokolacji.

### **11.10.2010 Lobuche -> Dzonghla**

Wyruszamy wcześnie, bo słyszeliśmy o problemach z brakiem noclegów w Dzonghla. Droga jest łatwa, szczególnie w porównaniu z poprzednimi dniami. Po drodze mijamy jezioro Chola Tsho. Przed Dzonghlą musimy przejść rzekę. Mostek składa się z dwóch desek i luźno ułożonych na nich płaskich kamieni. W Dzonghli (4830m) jesteśmy już o 10:00 i udaje nam się dostać nocleg. Jest to chyba najkrótsza trasa podczas naszego całego trekkingu. Wydaje nam się, że ten nocleg jest tak pomyślany, aby nabrać sił przed długotrwałą, siedmiogodzinną przeprawą przez Chola Pass.

Turyści, którzy przychodzą po nas trafiają do dormitorium a po jego wypełnieniu do namiotów. Ubikacja to wychodek z dziurą w ziemi (kojarzy na się z filmem Slumdog Millionaire), jednak ze wspinałym tłem w postaci ośnieżonych wierzchołków. Po południu w ramach rozruszania wchodzimy na pobliską górę. Wieczorem lekko pada śnieg, który nie wróży nam nic dobrego.

### **12.10.2010 Dzonghla -> Phorse**

Wstajemy o 5:00 rano, ale w nocy padał śnieg i na zewnątrz jest biało jak w zimie i pochmurnie. Dlatego przeprawa przez Chola Pass wydaje się ryzykowna, szczególnie że tam jest 500m wyżej i nie wiemy jakie tam panują warunki. Czekamy do 8:00, ale pogoda się nie poprawia. W tym czasie niektórzy turyści decydują się iść na przełęcz, ale nasz tragarz mówi, że nie chce iść z powodu śliskich butów. Buty Przemka także się nie nadają do chodzenia po lodzie i śniegu.

Mamy trzy opcje. Pierwsza, możemy poczekać do jutra, ale nie ma żadnej gwarancji, że pogoda będzie lepsza. Drugą możliwością jest dojście do Gokyo okrężną drogą na co potrzeba 2-3 dni. Trzecia możliwość to skrócenie trekkingu i powrót do Lukli. Ostatecznie postanawiamy wracać szlakiem EBC w kierunku Namche, co wciąż pozostawia nam drugą i trzecią opcję otwartą.

Wyruszamy w stronę Periche. Po drodze widzimy jaki, które idą w tą samą stronę skrótom omijającym Lobuche, więc postanawiamy iść za nimi. Przechodzimy koło jeziora Chola Tsho, tylko dużo niżej niż poprzednio. Następnie dochodzimy do rzeki, za którą widzimy już Periche. Problem w tym, że poziom głównej rzeki jest dość wysoki i nie możemy jej przejść. Zgubiliśmy także jaki z pola widzenia. Przy przechodzeniu jednej z mniejszych rzek Magda upada, nabija sobie dużego siniaka, ale może iść dalej. Jesteśmy zmuszeni iść w górę rzeki i w ten sposób dochodzimy do Doughli, przy której znajduje się najbliższy most. Możliwe, że tą drogą także przyszły jaki a my niepotrzebnie traciliśmy czas na

przekroczenie rzeki. Nasz skrót okazał się nieudany, bo zesliśmy się z drogą prowadzącą z Lobuche. Z Doughli schodzimy do Periche, gdzie jemy obiad i około południa wyruszamy w dalszą drogę. Przed 15:00 dochodzimy do Pangboche, gdzie musimy zdecydować, czy kończymy trekking i schodzimy do Namche, czy idziemy w stronę Gokyo. Decydujemy się iść w stronę Gokyo, chociaż wiemy, że będzie to wymagało od nas wielu dodatkowych godzin trekkingu. Po drodze zwiedzamy jeszcze 600-letnią gompę (świątynię) w Pangboche, najstarszą w dolinie Khumbu. Postanawiamy dzisiaj jeszcze dojść do Phorse, które wygląda blisko na mapie. W rzeczywistości droga okazuje się bardzo wąska, na przemian w górę i w dół, z 600-metrową przepaścią po lewej stronie. W Phorse (3810m) jesteśmy około 17:30, tuż przed zachodem słońca. Za nami bardzo trudny dzień, podczas którego zesliśmy w dół około 1000m w pionie i przeszliśmy odległość, która zabiera trzy dni podczas wchodzenia.

W hotelu w Phorse spotykamy turystów, którzy idą na Gokyo. Phorse leży trochę z boku szlaku Gokyo a oni trafili tutaj w ramach aklimatyzacji. Rzeczywiście na szlaku Gokyo (dolina lodowca Ngozumba) nie ma szczytów, na które można wejść w ramach aklimatyzacji. Cieszymy się, że posłuchaliśmy rad przewodników i zaczęliśmy nasz trekking od EBC.

### **13.10.2010 Phorse -> Macherma**

Po śniadaniu o 7:00 schodzimy do Phorse Thanga (3680m), gdzie przekraczamy rzekę i wchodzimy na szlak Gokyo. Na początku idziemy łatwą drogą przez zacieniony las. Później zaczyna się strome podejście, przy którym płynie wodospad. Powoli wspinamy się do Dhole (4110m), gdzie jesteśmy o 10:30. Dalej idziemy łagodnym podejściem i mijamy Lhabarmę i Luzę. Roślinności jest coraz mniej aż zostaje sama kosodrzewina. Dolina Ngozumba jest dużo węższa i bardziej stroma niż Khumbu. Przed 15:00 dochodzimy do Machermy (4470m). Większość z wymienionych miejscowości leży w dolinie, przez co trzeba do nich schodzić a później się wspinąć przy wychodzeniu.

Dzisiaj przeszliśmy trasę, którą normalnie wchodzi się dwa dni, z postojem w Dhole. Jednak my byliśmy już zaaklimatyzowani i dzięki temu nie mieliśmy żadnych problemów z podejściem. Po drodze spotkaliśmy znajomych Anglików, którzy doszli dzień przed nami do Dzonhgli i przeszli Chola Pass przed opadami śniegu. Mówili, że Chola Pass była niebezpieczna do przejścia nawet bez śniegu.

### **14.10.2010 Macherma -> Gokyo**

Wstajemy na śniadanie o 6:30, po którym wszyscy (włącznie z naszym tragarzem) mamy problemy żołądkowe. Podczas trekkingu chcieliśmy się zatrzymywać w małych, rodzinnych hotelach, żeby wspierać lokalną ekonomię, ale okazuje się, że dla żołądka bezpieczniejsze byłoby zatrzymywanie się w większych hotelach, przeznaczonych dla większych grup, które też mają wyższe standardy przygotowania żywności. Jak ktoś się wybiera w tamte rejony niech szerokim łukiem omija Snowlake Lodge w Macherma.

Po około godzinie dochodzimy do Phang, który jest ostatnią wioską przed Gokyo. Później zaczyna się strome podejście wzdłuż wodospadu, po którym dochodzimy do pierwszego, najmniejszego jeziora. Pogoda jest zmienna, raz świeci słońce a raz są chmury. Kilkadziesiąt minut później mijamy drugie jezioro i dochodzimy do trzeciego jeziora, przy którym znajduje się miejscowość Gokyo (4790m). Zatrzymujemy się w Gokyo Resort, z którego mamy doskonały widok na trzecie jezioro oraz ośnieżone góry. Przechodząc przez Chola Pass powinniśmy być tutaj jeden dzień i około trzy godziny wcześniej, więc idąc okrężną drogą nie straciliśmy aż tak dużo czasu.

Jemy wczesny obiad i o 11:00 wychodzimy w stronę piątego jeziora. Najpierw dochodzimy do czwartego jeziora, przy którym jest dużo kamieni i kiepsko się tam idzie. Za czwartym jeziorem droga jest lepsza, lekko pod górkę. Dochodzimy do piątego jeziora (4990m), które jest ładne, ale widok ze skraju lodowca Ngozumba wydaje nam się ładniejszy. Widać stąd wiele ośnieżonych szczytów jak Kangchung a także Chola Pass. Widzimy jak pogoda się pogarsza, bo przychodzą chmury. Do Gokyo wracamy około 16:00, pokonując całą drogę powrotną ze słońcem za chmurami.

### **15.10.2010 Gokyo -> Dhole**

Nie mamy ochoty wstawać wcześniej, aby na wschód słońca wejść na Gokyo Peak. Dobra pogoda utrzymuje się tylko 30 minut po wschodzie słońca a później przychodzą chmury. Około 8:00 chmury zasłaniają całe Gokyo, ale po jakimś czasie ustępują. Decydujemy się nie wchodzić na Gokyo Peak, bo obawiamy się, że przy tej pogodzie nie będzie z niego nic widać. Przemek za to wchodzi na pobliskie wzniesienie, z którego rozciąga się widok na lodowiec Ngozumba i ośnieżone szczyty a z drugiej strony panorama Gokyo. Później czekając na przebłyski słońca robimy zdjęcia trzeciego jeziora, a następnie drugiego i pierwszego schodząc już w kierunku Namche. Po około 2-3 godzinach jesteśmy już w Macherma, gdzie zatrzymujemy się na herbatę. Następnie dochodzimy do Lhabarmy, gdzie deszcz zaczyna mżyć. Około 13:30 jesteśmy w Dhole, przed którym zaczęło mocno padać. Planowaliśmy przenocować w Dhole, więc dla nas deszcz nie jest problemem, ale niektórzy turyści postanowili iść dalej do Phortse Thanga, albo nawet do Namche.

### **16.10.2010 Dhole -> Namche Bazaar**

Wczesnie rano wyszliśmy w kierunku Namche. Najpierw było strome zejście z 4100m na 3600m do Phortse Thanga, gdzie zrobiliśmy sobie krótki postój a później strome podejście na około 4000m. Gdy wchodzimy na szczyt zaczyna padać. Pozostałą drogę idziemy w deszczu. Plecak mamy przemoczony pomimo nałożonego pokrowca. W Namche jesteśmy o 13:00. O tej samej godzinie miał lecieć film Himalaya w Liquid Coctail Bar, ale od naszej ostatniej wizyty zmienili repertuar. Został tylko Into Thin Air, który widzieliśmy będąc tu wcześniej.

Przez dwa tygodnie nie jedliśmy mięsa i mamy na nie dużą ochotę, dlatego w hotelu zamawiamy sobie schabowe. Spotkaliśmy też Polaków, którzy przyjechali do Nepalu na 16 dniowy trekking EBC + Gokyo, ale musieli czekać cztery dni na przelot do Lukli z powodu złej pogody. Z braku czasu musieli zrezygnować z EBC a wciąż nie byli pewni, czy uda się im dotrzeć do Gokyo, albo przynajmniej zobaczyć Himalaje w dobrej pogodzie.

### **17.10.2010 Namche Bazaar -> Lukla**

Wychodzimy około godziny 8:00. Schodzimy stromym zejściem do Larja Bridge. Kilkanaście dni temu było to ciężkie podejście, ale teraz wydaje nam się niezbyt trudne. Wychodzimy z parku narodowego, zatrzymujemy się na herbatę przy wodospadzie i dochodzimy do Phakding, gdzie jemy obiad. Przed Phakding zaczęło padać. Czekamy pół godziny po obiedzie i decydujemy się iść w deszczu. Deszcz nie przestaje padać nawet po dojściu do Lukli. W Lukli dowiadujemy się, że setki osób ma problemy z powrotem do Kathmandu, bo przez kiepską pogodę lata tylko kilka samolotów dziennie. Poza tym wszyscy, którzy mieli bilet typu open-ticket, czyli bez daty powrotu, mają problem z wylotem, ponieważ priorytet mają osoby z ustalonymi datami powrotnymi. My na szczęście mamy ustaloną datę powrotu i spieszyliśmy się, aby zdążyć dojść dzisiaj do Lukli i nie przekładać przelotu, bo spodziewaliśmy się możliwych problemów. Tilachah - nasz tragarz bał się, że nie dostanie od nas napiwku, bo nie chciał iść z nami przez Chola Pass. Oprócz napiwku daliśmy mu buty trekkingowe, kurtkę i inne.

### **18.10.2010 Lukla -> Kathmandu**

Jesteśmy o 6:00 na otwarciu lotniska. Tragarz przyszedł się z nami pożegnać. Dookoła widać ośnieżone szczyty o wschodzie słońca (później przychodzą chmury). Na lotnisku są setki zdenerwowanych ludzi, którzy chcą uzyskać miejsca w samolocie. Miejscowi pchają się bez kolejki, aby dostać miejsce dla siebie lub swoich klientów. My mamy szczęście, bo mamy bilet z dzisiejszą datą i na pierwszy samolot, co oznacza, że jak my dzisiaj nie polecimy do Kathmandu to nikt nie polecą. Dodatkowo Sita Air (jedna z czterech linii lotniczych latających do Lukli) straciła jeden ze swoich dwóch samolotów. Kilka dni temu



samolot nie zdążył wyhamować na lotnisku w Lukli i lekko uderzył w ścianę. Nikomu nic się nie stało, jednak samolot stoi zepsuty na lotnisku. Od 6:30 czekamy z kartami pokładowymi na samolot. Słyszeliśmy, że z Kathmandu wyleciało pięć samolotów w naszym kierunku, więc jesteśmy dobrej myśli. Wszystkie samoloty dolatują prawie jednocześnie, w dziesięciosekundowych odstępach. Podczas lotu znów widzimy Himalaje i to nawet lepiej niż, gdy lecieliśmy do Lukli. Około 8:00 jesteśmy w Kathmandu i jedziemy do Pilgrims Guest House, gdzie zostawiliśmy nasz drugi plecak.

Po śniadaniu idziemy zwiedzać stolicę zgodnie z walking tour z Lonely Planet m.in. Durbar Square. Zdziwiło nas, że w głównej atrakcji miasta pasą się krowy. Po południu jedziemy do Swayambhunath. Ta buddyjska świątynia leży na wzgórzu, na które trzeba się wdrapać setkami schodów. Po drodze można obserwować dziesiątki małp, które nie przejmują się obecnością turystów. Ze wzgórza rozpościera się widok panoramy całego miasta. Następnie jedziemy do Bodhnath, gdzie znajduje się kolejna świątynia. Sama świątynia jest bardzo podobna do Swayambhunath, jednak z zupełnie innym otoczeniem. Dookoła znajdują się sklepy, restauracje i inne świątynie. Całość robi bardzo przyjemne, nastrojowe wrażenie.

Kolejną atrakcją jest Pashupatinath. Jest to hinduska świątynia, do której wstępu nie mają innowiercy. Przez bramę wejściową widać złotego cielca. Świątynię można obejrzeć dookoła. Z drugiej strony świątyni jest rzeka, przy której odbywają się bardzo długie ceremonie pogrzebowe. Ciała zmarłych są wynoszone ze świątyni na brzeg rzeki, nogi zmarłych są zanurzane w rzece, później następuje pożegnanie rodziny i przyjaciół ze zmarłym. Każdy podchodzi osobno do zmarłego i kropi go wodą oraz posypuje ryżem. Ostatnią częścią ceremonii jest kremacja zwłok na wcześniej przygotowanym drewnianym stosie. Po kilku godzinach następuje całkowite spalenie zwłok a resztki są zrzucane do rzeki. Gdy tam byliśmy odbywało się kilka pogrzebów jednocześnie.

### **19.10.2010 Kathmandu -> Sauraha (PN Chitwan)**

O 7:00 wyjeżdżamy autobusem w kierunku PN Chitwan. Większość drogi pokrywa się z drogą do Pokhary, którą wcześniej jechaliśmy na rafting. Tym razem nie ma korków, jednak podróż i tak trwa strasznie długo. W połowie zatrzymujemy się na śniadanie. Na miejsce dojeżdżamy po 14:00. Znajdujemy hotel, wypożyczamy rowery i jedziemy do Elephant Breeding Center (EBC). Ostatnią częścią drogi do EBC jest rzeka, którą musimy pokonać w canoe. W EBC jest kilkadziesiąt słoń. Widzimy słonie bliźniaki, które się tutaj urodziły i jest to dopiero drugi taki przypadek na świecie. Jednak nasze ogólne wrażenie jest słabe, ponieważ słonie są przykute łańcuchami za nogi i nie mogą się swobodnie poruszać.

### **20.10.2010 Sauraha (PN Chitwan)**

O 9:30 jedziemy do miejsca, z którego rozpoczyna się elephant safari. Lepszą porą byłaby 8:00 albo 16:00, jednak jest tak dużo turystów, szczególnie miejscowych, którzy właśnie mieli święto Dasain, że lepsze godziny były już zajęte. Na safari wyrusza około 30 słoń, każdy z przynajmniej czterema osobami i mahoutem. Przy tak dużym tłoku nie ma się co dziwić, że zamiast nosorożców widzimy jedynie kilka jeleni i węża.

Czując pewien niedosyt po elephant safari postanawiamy wykupić canoeing + jungle walking. Dostajemy dwóch przewodników, którzy mają dbać o nasze bezpieczeństwo idąc przed i za nami. Jako broń mają długie kije, którymi najprawdopodobniej mają odganiać atakujące zwierzęta. Wycieczkę rozpoczynamy od rejsu canoe. W pewnym miejscu wysiadamy z canoe i idziemy szukać nosorożca, którego nasz przewodnik widział tutaj kilka godzin wcześniej. Ku naszemu zadowoleniu nosorożec siedzi w jeziorze, prawdopodobnie przesiedział tam cały dzień. W tym samym jeziorze pływają także małe krokodyle. W ciszy i spokoju, aby nie drażnić nosorożca wycofujemy się i wracamy do canoe. Wysiadamy kilka minut później na drugim brzegu i rozpoczynamy jungle walking. Udaje nam się zobaczyć jelenie, małpy i ślady po tygrysie oraz niedźwiedziu (sloth bear). Wycieczkę kończymy w tym samym miejscu, gdzie rozpoczynaliśmy (Sauraha), tylko na drugim brzegu rzeki. Przepływając na drugi brzeg przez przypadek oglądaliśmy pogoń na słońcach za słoniacą, która uciekła swojemu mahoutowi.

## **21.10.2010 Sauraha (PN Chitwan) -> Lumbini -> Gorakpur**

O 9:30 wyjeżdżamy autobusem w kierunku granicy z Indiami. Wsiadamy w Bhairawa, skąd kolejnym autobusem jedziemy do Lumbini. Tam wypożyczonymi rowerami zwiedzamy kompleks świątyni wybudowanych obok miejsca urodzenia Buddy. Lumbini jest ciekawe, gdyż wiele państw, w których wyznaje się buddyzm wybudowało tam świątynie we własnym stylu. Najbardziej podobają nam się świątynie: chińska, tajska i birmańska. Najbrzydsza jest świątynia niemiecka. Widać, że wciąż powstają nowe świątynie, np. w trakcie budowy była świątynia kambodżańska przypominająca Angkor Wat. Następnie udajemy się na granicę nepalsko-indyjską. Przekraczamy ją około godz. 19:00. Ostatnim autobusem o 20:00 jedziemy do Gorakpur, gdzie dojeżdżamy po 3 godzinach. Na dworcu kolejowym okazuje się, że wszystkie miejsca sypialne na nocny pociąg do Varanasi zostały już wykupione. Dostępne są tylko miejsca siedzące, które nie gwarantują zbyt dużego poziomu bezpieczeństwa. Ponieważ jesteśmy zmęczeni decydujemy się na nocleg w hotelu i podróż pociągiem o 5:30. Jesteśmy też zaskoczeni widząc setki osób, w tym rodziny z dziećmi, śpiących na ziemi na dworcu i przed dworcem.

## **22.10.2010 Gorakpur -> Varanasi**

Pociąg odjeżdża punktualnie, ale na miejsce docieramy z dwugodzinnym opóźnieniem. Jednym z głównych pojazdów do poruszania się po indyjskich miastach jest autoriksza. Jest to trójkołowy motor z zakrytym dachem, którym wygodnie podróżuje 1 lub 2 pasażerów. Kierowca autorikszki zawozi nas do innego hotelu, niż chcieliśmy, ponieważ tam dostaje prowizję od właściciela. Prawdopodobnie myślał, że się nie zorientujemy, ponieważ zamiast do Vishnu Rest House trafiamy do Vishno Guest House. Gdy każdemu mu jechać do wybranego przez nas hotelu twierdzi, że tam nie można dojechać autorikszą. Ostatecznie nie płacimy mu za przejazd i idziemy dalej na piechotę. Przechodzimy spory kawałek, nim trafiamy do naszego hotelu. Rzeczywiście nie można tam dojechać autorikszą, jednak można dojechać 300 metrów od hotelu.

Varanasi nie robi na nas dobrego wrażenia. Wszędzie na ulicach pełno śmieci, śmierdzi, pasą się krowy, do tego uliczki są wąskie, co jeszcze bardziej potęguje poczucie okropnego brudu. Po obiedzie idziemy na spacer wzdłuż ghatów (stopnie schodzące ku rzece), gdzie wyznawcy hinduizmu dokonują w wodzie rytualnego oczyszczenia. Wieczorem oglądamy puja, modlitwy na brzegu Gangesu przy Dasaswamedth Ghat.

## **23.10.2010 Varanasi -> Khajuraho**

Wstajemy o 5:30, żeby na wschód słońca być przy ghatach. O tej porze Varanasi wygląda najlepiej. Ludzie przychodzą obmywać się w Gangesie a po samej rzece pływają niezliczone tłumy łódek z turystami. My także płyniemy wzdłuż wybrzeża przyglądając się ludziom aż dopływamy do burning ghat. Nie ma tu takiej atmosfery, jak w Pashupatinath w Nepalu, choć właśnie to miejsce jest uważane przez hindusów za najświętsze do bycia skremowanym. Sam Ganges jest bardzo zanieczyszczony. Dziwimy się, że Hindusi nie tylko się w nim kąpią w ramach rytuału oczyszczania, ale jeszcze piją brudną wodę z Gangesu. Później widzimy jak matka daje spragnionemu dziecku tą wodę do picia.

Po śniadaniu jedziemy do Ramnagar Fort. Aby się tam dostać trzeba pojechać okrężną drogą przez most albo przepłynąć się łodzią przez rzekę. Decydujemy się na tę drugą opcję. Przy przeprawie okazuje się jednak, że chcą od nas 500 Rp za przeprawę. Prawie zrezygnowaliśmy, ale przyszła Kanadyjka, która pracowała na drugiej stronie rzeki i powiedziała, że płaci 5 Rp za przeprawę. Poszliśmy za nią i po prawie dwóch godzinach czekania na napełnienie się łodzi przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Oczywiście chcieli od nas po 10 Rp, ale gdy twardo obstawaliśmy przy swoim, wzięli 10 Rp za nas dwoje. W forcie znajduje się muzeum. Ekspozycje nie były bardzo długo odkurzane. Najciekawsza była korona dla słonia maharadży. Widać też, że fort dawno nie był odnawiany i powoli popada w ruinę. W drogę powrotną udajemy się już przez most autorikszą. Po obiedzie jedziemy na dworzec. W pociągu jest mało osób, więc mamy wiele

miejsca dla siebie. W naszym wagonie (klasa 3A, kuszетка) są sami turyści. Wszyscy mówią, że rzadko się zdarza, żeby pociąg nie był wypełniony.

#### **24.10.2010 Khajuraho**

Z półtoragodzinnym opóźnieniem docieramy do celu. Dworzec kolejowy jest oddalony 7 km od miasta, więc trzeba wziąć taxi, albo autorikszę. Jednak tutaj nie udaje nam się wytargować lepszej ceny, ponieważ kierowcy umówili się między sobą na stałą opłatę 100 Rp za przejazd. Po znalezieniu hotelu jemy śniadanie i idziemy na dworzec kupić bilety na autobus do Agry. Khajuraho robi na nas pozytywne wrażenie. Jest to małe, spokojne miasteczko, jak się później okaże, jedno z najspokojniejszych podczas naszej podróży. Następnie zwiedzamy zachodnią grupę świątyń, które są dla nas bardzo pozytywnym zaskoczeniem. Cały teren jest zadbane (przystrzyżony trawnik, ławeczki w cieniu, kwiaty) a świątynie zachowały się w prawie nienaruszonym stanie. Tutaj pierwszy raz dużo Hindusów prosi Magdę o zrobienie sobie z nią zdjęcia. Czy dlatego, że jest blondynką? Czy dlatego, że jest inaczej ubrana? Tego nie wiemy, ale takie prośby będą się pojawiały przez całą naszą podróż. Po zwiedzeniu świątyń idziemy na obiad. Po poobiedniej sjeście idziemy zwiedzać wschodnie świątynie, do których wstęp jest darmowy. Koło nich kręci się dużo dzieci, które chcą słodycze, długopisy i pieniądze. Dwie świątynie są zadbane jak te w zachodniej części a pozostałe nie. Wieczorem Khajuraho zaczyna tętnić życiem.

#### **25.10.2010 Khajuraho -> Agra**

Po śniadaniu jedziemy autobusem do Agry. Niestety autobus jedzie bardzo wolno i podobnie jak pociągi na miejsce przyjeżdża z kilkugodzinnym opóźnieniem. Podróż trwała ponad 10 godzin. Po drodze był tylko jeden dłuższy postój na jedzenie, więc wygłodniali wspinali się na taras Shanti Lodge, żeby zjeść kolację i przy okazji po raz pierwszy przy blasku księżyca oglądamy Taj Mahal.

#### **26.10.2010 Agra -> Fathepur Sikri -> Agra**

Zmęczeni podróżą poprzedniego dnia wstajemy nieco później. Po kupieniu na dworcu biletów na pociąg do Amritsar jedziemy autobusem do Fathepur Sikri. Na miejscu zwiedzamy meczet Masjid Jama, do którego prowadzi przepiękna brama oraz kompleks pałaców, który jest na liście UNESCO. W drodze powrotnej widzimy wypadek, przez który zrobił się korek na drodze. Po powrocie do Agry bierzemy autorikszę do Mehtab Bagh, gdzie schodzimy na brzeg rzeki, żeby obejrzeć Taj Mahal o zachodzie słońca. Jesteśmy trochę rozczarowani, bo niski poziom wody w rzece nie pozwala nam zrobić zdjęć Taj Mahalu odbijającego się w wodzie. Poza tym Taj Mahal jest trochę jakby za mgłą, co jest chyba typowe dla tej pory roku.

#### **27.10.2010 Agra -> Amritsar**

Wstajemy wcześniej, bo chcemy zrobić zdjęcia Taj Mahalu o wschodzie słońca. Kupujemy bilety (najdroższe wstępy w Indiach; 750 Rp dla turystów i 20 Rp dla miejscowych) i czekamy na wschód słońca, wraz z którym otwierają się bramy. Razem z nami wchodzi kilkaset osób, w większości Hindusów. Udaje nam się zrobić jedno fajne zdjęcie kawałka Taj Mahalu ze wschodzącym słońcem w tle. Następnie mamy problem, bo dobre słońce do zdjęć jest dopiero dwie godziny później a nie można wyjść z kompleksu i wrócić. Jest tak dużo ludzi, że w dobrych miejscach do zrobienia zdjęcia ustawiają się kolejki. Niektórzy robią sobie zabawne zdjęcia obejmując Taj Mahal, lub trzymając go za czubek. Z kompleksu wychodzimy po 9:00, następnie wyprowadzamy się z hotelu i idziemy na śniadanie. Po 10:00 jedziemy riksą do Agra Red Fort. Fort jest ogromny, cały zbudowany z różowego piaskowca. Jest tam dużo ładnych budynków, w środku jednak pustych. Z jednej wieży jest ładny widok na Taj Mahal, jednak o tej porze roku jakby za mgłą. Po 16:00 wyjeżdżamy nocnym pociągiem (kuszетка) do Amritsar.

## **28.10.2010 Amritsar -> Attari -> Amritsar**

Pociąg miał jechać 14-16 godzin, ale dojeżdżamy dopiero po 23 godzinach, zmęczeni i głodni. Jedziemy riksą do centrum i meldujemy się w hotelu. Okazuje się, że jeszcze dzisiaj możemy zdążyć na ceremonię zamknięcia granicy w Attari. Kupujemy bilety na współdzieloną taksówkę/minibusik i przed wyjazdem udaje nam się jeszcze tylko kupić na ulicznym straganie coś podobnego do hamburgera. Później będziemy żałować tego zakupu, ponieważ przez kilka dni będziemy mieli problemy żołądkowe. Przed 16:00 wyjeżdżamy w stronę granicy z Pakistanem. Musimy zostawić plecak i opakowanie na aparat, ponieważ nie zostalibyśmy wpuszczeni. Na granicę razem z nami przyjechało kilka tysięcy ludzi, głównie Hindusów. Dla nich to przygotowane są trybuny jak na stadionie. Wchodzimy razem z innymi obcokrajowcami przez wejście dla VIP-ów i dostajemy dobre miejsca obok łoża dla VIP-ów. Zadziwia nas wzrost żołnierzy/celników, którzy ze średnią 190 cm znacznie przekraczają wzrost przeciętnych Hindusów. Każdy żołnierz ubrany jest w odświętny mundur z pióropuszem na głowie. Cała ceremonia to patriotyczne śpiewy, musztra oraz pokaz szybkiego marszu z bardzo wysoko podniesionymi nogami. Po stronie Pakistańskiej są także trybuny i odbywa się podobna ceremonia. W pewnym momencie dowódcy z obu stron podchodzą do otwartej bramy granicznej, podają sobie ręce i zamykana jest granica. Jednak moment ten jest tak krótki i daleko od trybun, że można go nie zauważyć. Później następuje uroczyste ściągnięcie obu flag z masztów.

Wracamy do Amritsar i idziemy oglądać Złotą Świątynię nocą. Zaskakuje nas uroczy klimat tego miejsca i cudowny wygląd świątyni nocą. Obchodzimy jeziorko ze świątynią w środku a następnie wchodzimy do samej świątyni. Prawie wszystko jest tu ze złota, nawet wiatraki na suficie. Świątynia żyje modlitwą i śpiewem sikhijskich duchownych oraz wiernych przynoszących dary na liściach.

## **29.10.2010 Amritsar**

Po śniadaniu idziemy znowu oglądać Złotą Świątynię. W dzień jest dużo więcej pielgrzymów i długa kolejka, żeby wejść do świątyni. Następnie idziemy zobaczyć sławną kuchnię, w której karmionych jest za darmo 80.000 ludzi dziennie. Przy wejściu dostajemy sztucę, kubek i półmisek (rodzaj talerza). Następnie wchodzimy do pomieszczenia mieszczącego około 500 osób (są takie dwa identyczne na dwóch piętrach). Ludzie są wpuszczani i siadają po kolei na matach rozłożonych na ziemi. Następnie Sikhowie roznoszą wiadrami wodę, roti (jak pita), zupę oraz fasolę w sosie. Każdy dostaje swoją porcję i może dostać ile chce dodatków. Pomieszczenie bardzo szybko się zapełnia. Gdy pierwsze rzędy kończą jeść następuje szybkie sprzątnięcie i przygotowanie miejsca dla kolejnych pielgrzymów. Całość pożywienia jest przygotowywana w kuchni przy wyjściu z ogromnymi kotłami. Po wyjściu oddaje się sztucę, kubek i półmisek, które trafiają do zmywalni, w której pracuje kilkanaście osób.

Po 16:00 mamy pociąg do Delhi, który nie przyjeżdża. Dowiadujemy się, że został odwołany z powodu strajku. Jest podobno możliwość pojechania do Mombala i złapania stamtąd drugiego pociągu do Delhi, ale z powodu problemów komunikacyjnych z zawiadowcą stacji (nie wiemy np. ile godzin będziemy jechać) decydujemy się oddać bilety (pełna refundacja) i kupić bilety na jutro rano. Braliśmy też pod uwagę przejazd autobusem, ale ostatni odjechał o 16:40.

## **30.10.2010 Amritsar -> Delhi**

Umówiliśmy się pod hotelem z autorikszarzem o 4:00, ale nie przyjechał. Do stacji kolejowej jest około kilometra, więc idziemy na pieszo. Dowiadujemy się, że tym razem pociąg nie jest odwołany, ale przełożony z 4:45 na 9:10. Idziemy do poczekalni upper class, aby tam przeczekać do 9:00. Magda śpi w śpiworze na ziemi razem z wielu Hindusami. Pociąg wyjeżdża około 9:30 i zamiast planowych 6 godzin, dojeżdżamy do Delhi na 22:30. Jesteśmy zmęczeni i głodni. Po pociągu chodzili ludzie sprzedający picie oraz jedzenie, ale kanapki z chleba tostowego, masła i marchewki nie bardzo przypadły nam do gustu. Można było kupić też samosę, która nam smakuje, ale jest ostra i nie da się tego dużo zjeść. W Delhi znajdujemy hotel i sprawdzamy pociągi do Jaipur na następny dzień. Najlepsze połączenie to Shatabdi

Express, jednak decydujemy, że nie damy rady wstać na 5:45, zwłaszcza, że wciąż mamy problemy żołądkowe po jedzeniu zakupionym na ulicznym straganie w Amritsar.

### **31.10.2010 Delhi -> Jaipur**

Wstajemy o 10:00, jemy śniadanie i kupujemy przez internet bilet na 16:00 do Jaipur. Mamy trochę wolnego czasu, więc postanawiamy pojechać riksą do Humayun's Tomb. Ku naszemu zdziwieniu grobowiec ten jest ogromny i wygląda jak brat bliźniak Taj Mahalu. Podstawowa różnica to jego różowy kolor (piaskowiec) oraz brak czterech minaretów. Wyczytaliśmy w przewodniku, że Taj Mahal był wzorowany na Humayun's Tomb. Następnie udajemy się do świątyni Hazrat Nizam-ud-din Dargah, która okazuje się nie warta naszego zachodu. Wracamy do centrum mijając po drodze India Gate i świątynię Sikhów.

Nasz pociąg odjeżdża ze stacji Sarai Rohilla, do której dojeżdżamy autoriksą. Pociąg wyjeżdża z 40 minutowym opóźnieniem. Wyjeżdżając z Delhi przez około 30 minut oglądamy slumsy ciągnące się wzdłuż torów kolejowych, które robią na nas przerażające wrażenie. Około 21:00 dojeżdżamy do Jaipur, gdzie jedziemy riksą do hotelu i idziemy na kolację.

### **1.11.2010 Jaipur -> Pushkar**

Jesteśmy w stolicy Rajastanu (ponad 2 mln mieszkańców), jednak wszystkie restauracje w tym mieście są czynne od 11:00 i nie możemy zjeść śniadania. Postanawiamy zwiedzić centrum miasta zgodnie z walking tour z Lonely Planet. Na początku wchodzimy na minaret Iswari Minar Swarga Sal, z którego oglądamy panoramę miasta. Następnie idziemy do Jantar Mantar, obserwatorium astronomicznego z XVIII wieku, gdzie są urządzenia służące do określenia czasu i położenia planet. Przed obserwatorium siedzą zaklinacze węży wraz z kobrami. Naprzeciw obserwatorium jest City Palace, który jest bardzo ciekawy. Można tam zobaczyć np. dwa największe na świecie naczynia wykonane z czystego srebra. Jest sala audiencji, w której maharadża przyjmował interesantów. Najbardziej podobał nam się dziedziniec Pitam Niwas Chowk, zawierający drzwi przedstawiające wiosnę, lato, jesień i zimę. Następnie udajemy się do Hawa Mahal, czyli Pałacu Wiatrów. Jest to pięciopiętrowa budowla w stylu rajput. Z zewnątrz pałac robi bardzo dobre wrażenie, jednak w środku jest pusta.

Wieczorem jedziemy pociągiem do Ajmer. Kupiliśmy najtańszy bilet (klasa 2S) i trafiliśmy na pociąg pełny Hindusów. Baliśmy się, że całą podróż będziemy musieli stać, ale miejscowi są bardzo mili i ustępują nam miejsce. Siedzimy w sześć osób na siedzeniu dla trzech osób, ale i tak jest lepiej niż stać. Po przyjeździe do Ajmer jedziemy riksą na dworzec autobusowy razem z starszym Hindusem poznanym w pociągu. Czekamy kilkanaście minut na autobus i po kolejnych 30 minutach jesteśmy w Pushkar. Tam idziemy do hotelu Lake View (adres mamy z Lonely Planet), ale jest tak ohydny, że idziemy do hotelu, który polecił człowiek spotkany w autobusie. Drugi hotel nie leży przy jeziorze, ale ma dużo lepsze pokoje.

### **2.11.2010 Pushkar**

Pierwszy raz od Khajuraho jesteśmy w Indiach w małym mieście. Wszystkie kolejne miasta miały powyżej miliona mieszkańców. Od razu odczuliśmy różnicę. Spokój, cisza, brak trąbienia na ulicy, nawet autoriksze mają zakaz wjazdu do centrum miasta. Pushkar dla Hindusów jest najświętszym miastem Rajasthanu i leży nad świętym jeziorem. Dzień rozpoczynamy od zwiedzania Brahma Temple, która jest jedną z kilku świątyń tego bóstwa na świecie. Później idziemy zobaczyć ghaty, w których podobnie jak w Varanasi ludzie dokonują rytualnych kąpiei. Następnie idziemy na drugą stronę jeziora, z której o tej porze dnia można zrobić lepsze zdjęcia. Następnie idziemy do Vishnu Temple, która jest całkiem ładna, ale turyści nie mogą wejść do środka. W zasadzie poza opisanymi miejscami nie ma w Pushkarze zbyt wielu innych atrakcji. Są jeszcze dwa pobliskie wzgórza ze świątyniami na szczycie, z których można podziwiać panoramę miasta.

### **3.11.2010 Pushkar -> Jodhpur**

O 7:00 rano wyjeżdżamy autobusem z Pushkaru do Jodhpuru. Na miejscu jesteśmy po południu. Jedziemy riksą do Sunrise Guest House. Kilka godzin później okazuje się, że na sąsiedniej uliczce jest drugi hotel o tej samej nazwie. Oba hotele mają restaurację na dachu i z jednego widać drugi. Zastanawiamy się, który z hoteli jest prawdziwy, bo dwa reklamują się, że są polecane przez Lonely Planet. Z mapy nie udaje nam się tego wyczytać, ale adres e-mailowy potwierdza nasze przypuszczenia, że zatrzymaliśmy się w tym fałszywym.

Po obiedzie idziemy na fort Mehrangarh, który znajduje się na wzgórzu w centrum miasta. Wzgórze jest skaliste a fort został dobudowany do oryginalnych skał. Po wejściu przez główną bramę widzimy pałac, który zbudowany jest ponad ogromnym, dwudziestometrowym murem. Fort można zwiedzać z audio-guidem, który jest wliczony w cenę biletu. Lonely Planet odradza korzystania z audio-guide'a, ale według nas był on całkiem niezły. Byliśmy w wielu innych pałacach i fortach w Indiach, ale ten był jednym z najciekawszych i miał jedną z największych kolekcji różnych eksponatów np. broni, miniaturowych obrazów i lektyk.

Po wyjściu z fortu idziemy do pobliskiego grobowca Jaswant Thada, zwanego małym Taj Mahalem, ponieważ także jest zbudowany z białego marmuru. Jesteśmy przed zachodem słońca, więc udaje nam się zrobić ładne zdjęcia, szczególnie budowli odbijającej się w pobliskim jezioru. Na koniec dnia odwiedzamy słynny Omlette Shop, gdzie właściciel codziennie zużywa kilka tysięcy jajek robiąc przepyszne omlety.

### **4.11.2010 Jodhpur -> Jaisalmer**

Wczesnie rano jedziemy pociągiem do Jaisalmer, gdzie przyjeżdżamy około południa. Przed dworcem naszym oczom ukazują się dziesiątki kartek z nazwiskami turystów, którzy wcześniej zarezerwowali sobie nocleg. Następnie turyści odjeżdżają samochodami podstawionymi przez ich hotele. Widzimy takie coś pierwszy raz w Indiach. W Jaisalmer znajdujemy jeden z najtańszych noclegów w Indiach, ponieważ właściciele hoteli mają nadzieję na większy zarobek z pośrednictwa w zorganizowaniu camel safari.

Popołudnie spędzamy na wyborze camel safari. Po wysłuchaniu programów dwu i trzydniowych safari decydujemy się na półdniowe safari. Safari zaczyna się tego samego dnia o 15:00, więc do tego czasu mamy tylko czas zjeść obiad i pójść na internet.

O 15:00 mieliśmy wyjechać samochodem terenowym na pustynie, ale kierowca spóźnia się o 40 minut. Nic się nie stało, nawet nie przeprosza, jesteśmy w Indiach. Wyjeżdżamy samochodem w dziewięć osób plus kierowca. Po drodze mamy dwudziestominutowy postój, gdzie możemy zwiedzić świątynię dżinistów. Później dojeżdżamy 1 km od Sam Sand Dunes, gdzie przesiadamy się na wielbłąda. Przez kolejne pół godziny jedziemy na wielbłądzie wzdłuż asfaltowej drogi, którą przyjechaliśmy. Na każdym wielbłądzie jadą dwie osoby, ale siodło nie jest zbyt wygodne, bo z tyłu nie ma się czego trzymać. Przed zachodem słońca dojeżdżamy na wydmy (Sam Sand Dunes), gdzie razem z setkami osób (głównie Hindusi) czekamy na zachód słońca. Szukamy ciekawych ujęć i udaje nam się znaleźć samotnego wielbłąda na wydmie. Okazuje się, że został tam celowo ustawiony, do zrobienia zdjęć. Z całej wyprawy najfajniejsze były zdjęcia z tym wielbłądem, bo lepsze przejażdżki na wielbłądzie są w Tunezji czy Egipcie. Cieszymy się też, że nie wzięliśmy kilkudniowego safari, bo po pół godzinie jazdy boli nas tylnia część ciała.

Wieczorem idziemy do włoskiej restauracji przy pierwszej bramie do fortu, z której jest doskonały widok na podświetlony fort. Po kolacji idziemy do fortu, który jest jednym z ostatnich zamieszkanym przez zwykłych ludzi. Oglądamy wąskie, nastrojowe uliczki, które trochę przypominają średniowieczne śródziemnomorskie miasteczka.

## **5.11.2010 Jaisalmer -> Jodhpur**

Po śniadaniu zwiedzamy fort, a w nim bardzo interesujące dżinijskie świątynie. Najciekawsza świątynia jest otwarta dla turystów tylko od 11:00 do 12:00. Następnie zwiedzamy z audio-guidem Pałac Maharadży. Wśród wielu eksponatów naszą uwagę zwrócił drewniany koń na kółkach, przypominający nasze konie na biegunach, na którym syn mahardży był wożony od dzieciństwa, aby zdobywać umiejętności jeździeckie. Po wyjściu z fortu zwiedzamy trzy haveli, czyli zabytkowe kamienice zbudowane przez wpływowych mieszkańców Jaisalmeru. Najciekawsza jest Patwa-ki-Haveli, która zawiera wiele dobrze zachowanych pomieszczeń wraz z wyposażeniem. Dla nas najciekawsze są setki małych lusterek pokrywających ściany i sufity.

Chcieliśmy dzisiaj jechać nocnym autobusem (kuszetki) do Udaipuru, ale z powodu święta Diwali autobus jest odwołany, więc jesteśmy zmuszeni jechać pociągiem o 16:00 do Jodhpuru i stamtąd szukać połączenia z Udaipurem. Diwali, czyli hinduistyczne święto lamp, jest jednym z najważniejszych tradycyjnych świąt w Indiach i oznajmia nadejście Nowego Roku. W Jodhpurze jesteśmy po 22:00 i jedziemy autoriksą do turystycznej części miasta szukać noclegu. Po drodze widzimy fajerwerki i wybuchają petardy. Niektóre petardy trafiają pod riksę i na chwilę pozbawiają nas słuchu. Szybko znajdujemy nocleg, bo Hindusi z petardami są nieobliczalni. Nocujemy w hotelu z restauracją na dachu (które ma tutaj większość hoteli), z której widzimy fajerwerki nad fortem oraz clock tower. Po kolacji idziemy spać, ale z powodu święta Diwali jest tak głośno, że trudno jest zasnąć.

## **6.11.2010 Jodhpur -> Udaipur**

Dzisiaj jest pierwszy dzień hinduskiego Nowego Roku, więc okazuje się, że połowa autobusów do Udaipuru jest odwołana. Pierwszy, który jedzie jest to rządowy autobus o 15:00, więc postanawiamy nim jechać. Wolny czas spędzamy na internecie, obiedzie oraz pisaniu tej relacji. Zgodnie z radą właściciela hotelu przed 14:00 jedziemy na dworzec a około 14:15 zaczyna się sprzedaż biletów na nasz autobus. Droga do Udaipuru jest jednym z najgorszych przejazdów autobusem w Indiach, więc dojeżdżamy umęczeni. Po drodze był 10-minutowy postój w Ranakpur, mieście, które początkowo chcieliśmy odwiedzić, ale ostatecznie postanowiliśmy ominąć z braku czasu. Na szczęście większość osób z autobusu wysiadła wcześniej i pod koniec można było rozłożyć się na kilku siedzeniach. W Udaipurze jesteśmy około 22:00. Jedziemy autoriksą do centrum. Z powodu święta Diwali główna droga jest zamknięta i część trasy musimy przejść pieszo. Noclegi okazują się bardzo drogie jak na Indie i dobrą cenę dostajemy dopiero w piątym lub szóstym hotelu.

## **7.11.2010 Udaipur -> Ahmedabad**

Po śniadaniu zwiedzamy hinduską Jagdish Temple. Potem zwiedzamy City Palace, które po wielu zwiedzonych muzeach w Indiach było dla nas nudne. Wyjątkiem był dziedziniec pięknie przyozdobiony pawiami z mozaiki. Po wyjściu z pałacu idziemy na przystań, z której mamy rejs po jeziorze Pichola. Najpierw płyniemy wzdłuż City Palace, później przepływamy obok wyspy Jagniwas, zajętej całkowicie przez pałac Maharadży Jagat Singh II, obecnie luksusowy hotel. Następnie zatrzymujemy się na kolejnej wyspie, Jagmandir. Okazuje się, że znajduje się tu tylko kolejny pałac (obecnie hotel) i ładne ogrody. Robimy kilka zdjęć i wsiadamy do łódki, która zabiera nas na przystań, z której wypłynęliśmy.

Do wieczornego pociągu mamy dużo czasu, więc idziemy na obiad a później do Bagore-ki-Haveli, rezydencji XVIII-wiecznego premiera, w której obecnie znajduje się największy turban na świecie, wystawa znanych budowli ze świata wykonanych ze styropianu oraz galeria współczesnych obrazów. Następnie idziemy przez most na drugi brzeg jeziora, gdzie oglądamy City Palace podczas zachodu słońca. O 19:25 wyjeżdżamy nocnym pociągiem (kuszetka) do Ahmedabadu.

## **8.11.2010 Ahmedabad -> Jalgaon**

Pociąg przyjeżdża punktualnie o 4:30. Dwie godziny później mamy kolejny pociąg (kuszетка), tym razem do Jalgaon. Jedyny problem to, że już wczoraj wszystkie miejsca były zarezerwowane i kupiliśmy bilet warunkowy (waiting list, numery 24 i 25). Kilka godzin przed odjazdem pociągu jest robiona lista pasażerów i mieliśmy nadzieję, że dużo osób anuluje swój bilet. Okazało się, że nasz bilet ma potwierdzone jedno miejsce a drugie jest siódme na waiting list. Jest to bardzo dziwne, ponieważ była to jedna rezerwacja i wcześniej mieliśmy sąsiednie numery. Ostatecznie na stacji mówią nam, żeby wsiąść do pociągu i zgłosić się do konduktora. Znajdujemy konduktora, który mówi nam, żeby wsiadać do pociągu i czekać na niego na miejscu, które mamy potwierdzone. W naszym przedziale są dwa wolne miejsca, więc je zajmujemy. Konduktor przychodzi godzinę później i nic nie mówi o miejscu, więc udaje nam się jeszcze pospać do 10:00. Po południu dosiadają się ludzie i jeden z nich ma rezerwacje na miejsce, które sobie sami przydzieliliśmy. Jednak w dzień śródkowe łóżka są już złożone i wszyscy siedzą na dole, więc nie ma problemu.

W Jalgaon jesteśmy przed 17:00. Idziemy na pieszo do Hotel Plaza, odświeżamy się po podróży i idziemy do restauracji, bo jesteśmy głodni a w pociągu jedliśmy tylko banany, samosę, chipsy, czekoladki oraz thali.

### **9.11.2010 Jalgaon -> Ajanta -> Jalgaon**

Rano jedziemy do Madras Cafe na śniadanie. O 9:00 wyjeżdżamy autobusem w kierunku Ajanta Caves. Po półtorej godziny wysiadamy na skrzyżowaniu i dochodzimy do rządowego autobusu, którym dojeżdża się pod same jaskinie (4 km). Turystów (głównie miejscowych) jest już tak dużo, że około 20-30 minut czekamy w kolejce na autobus i odjeżdżamy dopiero czwartym.

Kupujemy bilet wstępu i zaczynamy zwiedzać jaskinie. Jest około południa, więc czas największego upału. Na szczęście w jaskiniach jest przyjemnie chłodno. Jaskinie są ciekawie położone na brzegu rzeki, w jej zakolu. Jaskiń jest 28, ale niektóre są zamknięte a ciekawych jest tylko kilka. W wielu znajdują się jedynie posągi Buddy. W jaskini nr 16 są zachowane malowidła naścienne. Po obejrzeniu jaskiń przechodzimy na drugą stronę rzeki i wdrapujemy się na szczyt, z którego można podziwiać panoramę na jaskinię oraz pobliski wodospad.

Wracamy do Jalgaon, gdzie jemy obiad i czekamy na ogłoszenie grafiku (chart) dla naszego pociągu do Mumbaju. Byliśmy na waiting list z numerami 10 i 11, ale tym razem przesunęliśmy się o jedno miejsce, co oznacza, że nie możemy jechać tym pociągiem. Próbujemy jeszcze kupić bilet na nocny autobus do Mumbaju, ale jest godzina do wyjazdu i wszystko jest sprzedane (godzinę wcześniej były jeszcze miejsca). Zgodnie z radą właściciela hotelu pozostaje nam jazda jutrzejszym porannym pociągiem lub kupienie najtańszego biletu (klasa 2S - second sitting) i próba podwyższenia klasy u konduktora. Poszliśmy na dworzec z plecakami i próbowaliśmy załapać się na każdy pociąg do Mumbaju, ale zawsze konduktor mówił, że klasy AC-2 i AC-3 są pełne. Mogliśmy jechać klasą 2S, ale wagony były przepełnione (ludzie stali) i nocą byłoby to bardzo ryzykowne. Postanowiliśmy wrócić do hotelu i spróbować jutro rano.

### **10.11.2010 Jalgaon -> Mumbai**

Wstaliśmy na pierwszy poranny pociąg do Mumbaju (Bombaju) i kupiliśmy bilety w klasie 2S (jedyne dostępne). Wagony znów były przepełnione, więc zgodnie z radą właściciela hotelu poszliśmy do klasy sleeper, gdzie większość ludzi w dzień siedzi na dolnych łóżkach. Znaleźliśmy miejsce na plecaki a kilka osób udostępniło nam miejsce. Z pobieżnych obserwacji wynikało, że na każde 6 miejsc przypadało około 8 osób, więc dużo ludzi podróżowało tak jak my. Kilka godzin później przechodził konduktor, ale nawet nie sprawdzał biletów, pomimo widocznego nadmiaru pasażerów.

Przed 16:00 przyjechaliśmy do Mumbaju. Już wczoraj próbowaliśmy kupić bilety z Mumbaju na Goa przez internet, ale znowu wszystko było zajęte. Dlatego postanowiliśmy spróbować kupić miejsca z puli dla obcokrajowców (tourist quota), co można zrobić w większych miastach, jakim także jest Mumbai. Poszliśmy



do okienka 52, przed którym spędziliśmy około godzinę, ponieważ przed nami było około sześć grup turystów. Okazało się jednak, że pula biletów dla obcokrajowców na interesujący nas termin także jest wyczerpana. Nie chcieliśmy zostawać w Mumbaju kolejnego dnia, więc postanowiliśmy jechać autobusem nocnym.

Z dworca kolejowego pojechaliśmy do dzielnicy Colaba, gdzie znaleźliśmy tani nocleg. Następnie poszliśmy szukać restauracji. Zdziwiliśmy się, bo na głównej ulicy od razu znalazły się dwie restauracje, gdzie robili kebaby z mięsa drobiowego. Były to nasze pierwsze kebaby w Indiach. Cały Mumbai okazał się zupełnie inny od reszty indyjskich miast. Tyle drogich sklepów znanych marek nie widzieliśmy od Europy. Nawet żebracy byli dobrze ubrani, tak że wcale na żebraków nie wyglądali. Jedynym wielkim minusem Mumbaju jest wysoka temperatura spowodowana zanieczyszczeniem powietrza. Chyba nigdzie w Indiach wieczorem nie było tak gorąco.

### **11.11.2010 Mumbai -> Margao**

Po śniadaniu udajemy się do Gateway of India, łuku tryumfalnego, spod którego odpływają łódki na Elephanta Island. Dopłynięcie do wyspy zajmuje nam około godzinę. Po drodze widzimy platformy naftowe, statki marynarki wojennej oraz wielkie statki kontenerowce. Z oddalonej przystani można za 10 Rp podjechać mają kolejką spalinową do wyspy, co było dobrym pomysłem w przedpołudniowym upale. Po wejściu kilkuset schodami płacimy wstęp i rozpoczynamy zwiedzanie. Ciekawa jest jedynie największa jaskinia numer 1, w której znajduje się wiele dobrze zachowanych posągów. Szczególnie podoba nam się posąg Sadhashivy, składający się z trzech jednakowych głów, każda skierowana w inną stronę świata. Reszta jaskiń jest prawie pusta a w ostatniej, otwartej jaskini numer 5 pasie się krowa. Bardzo ciekawa ochrona zabytku znajdującego się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Po powrocie do Mumbaju zwiedzamy pieszo zabytkowe ulice przechodząc m.in. obok Prince of Wales Museum, High Court, University of Mumbai, St Thomas Cathedral and Victoria Terminus. O 17:00 wyjeżdżamy nocnym autobusem (kuszetki) na Goa. Okazuje się, że autobus jedzie po wszystkich dzielnicach Mumbaju i zabiera pasażerów. Ponieważ jest to jedno z największych miast na świecie mija ponad dwie godziny zanim wyjeżdżamy z samego Mumbaju. Miejsca leżące są trochę za krótkie (175-180 cm) i trochę za wąskie jak na dwie osoby, jednak i tak dużo bardziej wygodne do spania niż zwykłe siedzenia. Około 23:00 mamy dwudziestominutowy postój na kolację.

### **12.11.2010 Margao -> Palolem**

W Margao mieliśmy być około 9:00, ale dojeżdżamy dopiero około południa. Następnie jedziemy krótkodystansowym autobusem do Palolem, co trwa około godziny. Idziemy na plażę i po oglądnięciu kilku domków wybieramy jeden przy samej plaży, z widokiem na morze i w dobrej cenie. Chcemy tu zostać pięć nocy, więc wybór domku jest ważny zarówno dla samopoczucia jak i portfela. Plaża w Palolem jest szeroka i rosną przy niej wyjątkowo ładne i fotogeniczne palmy. Nie przywykliśmy jedynie do widoku krów stojących lub leżących na plaży. Przy plaży ciągną się hotele składające się z kilkunastu lub kilkudziesięciu małych domków. Prawie każdy hotel ma swoją restaurację, a niektóre po zachodzie słońca wystawiają stoliki na plaży.

### **13-16.11.2010 Palolem**

Nasz codzienny plan dnia jest podobny. Rozpoczynamy śniadaniem około 8:00. Później siedzimy na plaży lub pływamy. Między 10:00 a 14:00 słońce jest bardzo mocne, więc lepiej siedzieć w cieniu. Po 14:00 idziemy na obiad i wracamy na plażę. W tym samym czasie nad plażą pojawiają się chmury, które przechodzą po około dwóch godzinach. W naszym trzecim i czwartym dniu chmury te zamieniły się w mocny tropikalny deszcz. Miejscowi mówią, że to spóźniony monsun, który powinien się skończyć w październiku. Tylko piątego dnia cały dzień był bezchmurny.

Następnie czekamy na zachód słońca i idziemy na kolację. Po zachodzie słońca przed restauracjami pojawiają się pojemniki z lodem i wystawionymi owocami morza. Można sobie wybrać np. rybę lub krewetki, które za chwilę zostaną dla nas upieczone. Na plaży jest około 30 restauracji i kolejnych 10 przy głównej drodze. Codziennie chodzimy do innej restauracji aż znaleźliśmy taką z bardzo dobrym jedzeniem i przystępnymi cenami.

### **17.11.2010 Palolem -> Hampi**

Niestety trzeciego dnia pobytu Magda rozchorowała się na grypę. Miała 40 stopni gorączki, kaszel, katar i ból głowy. Dlatego połowę pobytu na Goa musiała spędzić w łóżku. Dzisiaj jest nasz ostatni dzień pobytu na Goa i w południe musimy się wyprowadzić z naszego domku. O 21:10 mamy nocny autobus (sleeper) do Hampi, więc do wieczora zostajemy w Palolem. Magda większość czasu spędza leżąc w śpiworze na leżaku. Około 20:00, po kolacji, jedziemy auto-rikszą do Canacona, gdzie jest przystanek autobusu do Hampi. Tym razem autobus ma kuszетки (sleeper) razem z miejscami siedzącymi. Podróż nie jest taka wygodna jak w pociągu, ale nie było pociągu z Goa do Hampi.

### **18.11.2010 Hampi -> Bangalore**

Do Hampi przyjeżdżamy po 8:00 rano. Nie nocujemy tutaj, ponieważ mamy wykupiony nocny pociąg do Chennai. Umawiamy się z jednym z autorikszarzy, że pojedziemy z nim zwiedzać świątynie, które są od siebie bardzo oddalone. Rikszarz zabiera nas do znajomej restauracji, w której jemy śniadanie i możemy zostawić plecaki. W Hampi są setki świątyń, ale większość jest niezabezpieczona i zrujnowana. Nasza trasa to około osiem najlepiej zachowanych świątyń, z czego dwie są na liście UNESCO. Najlepiej podoba nam się Vittala Temple, w której znajduje się ozdobna kareta wykonana w całości z kamienia. Ciekawe są też stajnie słoni oraz Lotus Mahal w Royal Centre. Całość zwiedzania (ominęliśmy tylko Monkey Temple, do którego trzeba się wdrapać po 500 schodach) zajmuje nam trzy i pół godziny. Rikszarz zabiera nas do restauracji, w której zostawiliśmy plecaki. Po obiedzie idziemy na pieszo zwiedzić Virupaksha Temple, która była zamknięta między 12:30 a 15:00. Sama świątynia nie jest zbyt ciekawa, ale ma piękną bramę wejściową, o której początkowo myśleliśmy, że jest świątynią. Pozostały czas spędzamy na internecie i u golibrody. Około 18:00 bierzemy plecaki i idziemy na autobus do Hospet, gdzie jedzie się około pół godziny. Następnie jedziemy riksżą na dworzec kolejowy, skąd o 19:25 mamy pociąg do Chennai z przesiadką w Bangalore. Bilety na ten pociąg kupowaliśmy 9 dni temu a były to już ostatnie miejsca (w większości klas było już pełno). Na południe od Mumbaju bardzo ciężko jest kupić bilet na pociąg.

### **19.11.2010 Bangalore -> Chennai**

O 5:30 mamy pociąg do Chennai i trochę się boimy, że możemy na niego nie zdążyć. Jednak pociąg z Hospet przyjeżdża zgodnie z rozkładem o 4:30, więc mamy jeszcze sporo czasu. Wcześniej jechaliśmy w klasie sleeper a tym razem jedziemy w klasie AC-3, bo takie tylko były wolne miejsca. Po wejściu do pociągu musimy wygonić Hindusów śpiących na naszych miejscach. Od razu czujemy wygodniejsze siedzenia niż w klasie sleeper i dostajemy pościel. Udaje nam się jeszcze przespać około dwie godziny. Ku naszemu zaskoczeniu około południa jesteśmy już w Chennai, gdzie bierzemy riksżę prepaid i jedziemy do dzielnicy z hotelami. Zgodnie z opisem w przewodniku, że hotele zapełniają się do południa, większość hoteli jest pełna, ale udaje nam się znaleźć pokój. Nie chcemy zwiedzać Chennai, które jest bardzo dużym miastem. Przyjechaliśmy tu tylko, aby polecieć do Delhi. Bilet kupiliśmy dokładnie dwa tygodnie temu przez internet. Pozostałą część popołudnia spędzamy na obiedzie, drzemce, internecie i kolacji.

### **20.11.2010 Chennai -> Delhi**

Wstajemy o 6:00. Idziemy z placakami na dworzec Chennai Egmore, z którego lokalnym pociągiem jedziemy na lotnisko. Jest pora sucha, ale gdy wysiadamy leje deszcz. Około 7:30 jesteśmy na lotnisku.

Odprawiamy nasze bagaże, dostajemy karty pokładowe i czekamy na wylot o 9:00. Okazuje się, że nasz samolot (razem z innymi Jet Airways) jest opóźniony i wyleci po 11:00. Trzy godziny później jesteśmy w Delhi, gdzie dowiadujemy się, że metro z lotniska do centrum, które miało być wybudowane do października 2010 jeszcze nie jeździ. Bierzymy prepaid taxi i jedziemy do dzielnicy turystycznej Paharganj. Zatrzymujemy się w tym samym hotelu, co ostatnio. Następnie idziemy zjeść obiad i robimy sobie krótki spacer po dzielnicy turystycznej.

### **21.11.2010 Delhi**

Podczas naszego poprzedniego pobytu w Delhi zwiedziliśmy już kawałek miasta a na dzisiejszy dzień zostawiliśmy sobie dzielnicę Old Delhi. Chcemy dojechać autorikszarżą do Old Delhi, ale dostajemy bardzo zaporowe ceny, pomimo tego, że jesteśmy oddaleni tylko dwa kilometry od Old Delhi. Postanawiamy iść na najbliższą stację metra i pojechać jedną stacją dalej. Metro nam się podoba z wyjątkiem bramki bezpieczeństwa (prawie jak na lotnisku), przed którą ustawiła się 10 minutowa kolejka. Ze stacji metra bierzemy riksę (prawdziwą, napędzaną siłą nóg) i tak docieramy do Jama Masjid. Meczet ten jest zbudowany z różowego piaskowca i bardzo przypomina nam Fathepur Sikri. Można także wejść na jeden z minaretów, z którego widać panoramę miasta. Po wyjściu z meczetu przechodzimy przez ogromny, zatłoczony targ i dochodzimy do murów fortu. Następnie dochodzimy do Lahore Gate, która jest głównym wejściem do fortu. Po zwiedzeniu wielu innych fortów w Indiach jesteśmy trochę zawiedzeni tym fortem. W zasadzie nie jest to jednolita struktura, ale kilka pałaców i innych budynków otoczonych murami obronnymi. Jednak jak ktoś wcześniej był w podobnym Agra Fort to szkoda czasu na Delhi Fort. Z całego fortu najlepiej prezentuje się Lahore Gate. Po zwiedzeniu fortu idziemy na metro i wracamy do Paharganj, gdzie jemy obiad. Zastanawialiśmy się jeszcze nad zwiedzeniem Qutub Minar, jednak z powodu kłopotów z dojazdem (także kiepski opis dojazdu w przewodniku) zrezygnowaliśmy.

### **22.11.2010 Delhi -> Munchen -> Wrocław**

Wstajemy o 6:30 i jedziemy wcześniej zamówioną taksówką (w kafejce internetowej było najtaniej), ponieważ o 9:45 mamy wylot do Monachium. Samolot wylatuje zgodnie z planem, sporo miejsc jest pustych. Jest to Airbus A340, więc każdy z pasażerów ma osobny telewizor, na którym może oglądać wybrane przez niego filmy i programy. Około 14:00 jesteśmy w Monachium, gdzie czekamy na samolot do Wrocławia o 17:15. We Wrocławiu jesteśmy po 18:00 i tak kończy się nasza ośmiodniowa podróż po Nepalu i Indiach.